

# Dolna Wilda



EDWARD PASEWICZ

## *Dolna Wilda*

### *[Dedykacja]*

*dla Marka*

## *Egzotycznej rybie z akwarium w Café 2000*

Gdybym mógł, przełożyłbym cię z obcego  
albo napisał od początku we własnym języku.  
Za grubą szybą ty i ja mamy przyciężkawe sylwetki  
wyciętych z kartonu kukielek.

Ja pracuję bardzo nad sposobem widzenia,  
podglądam świat przy sąsiednich stolikach —  
przystojnego Studenta, Wojaka-brzuchacza  
i dwie lesbijki, z których jedną znam  
od dziecka — ty podglądasz nas.

Jesteś grubą szarą kielbaską z wylupiastymi oczami,  
co chwila przylepiasz się do szyby  
otworem gębowym i zsuwasz się w dół.  
Właściwie nic ważniejszego ponad to.

Chociaż to obce, obce, obce.

Nijak się tego nie da oddać tutaj.  
Wojak-brzuchacz już za chwilę zaśnie  
i będzie ginął pod Sarajewem, rażony  
sztucznym choinkowym ogniem,  
Student wymieni spojrzenia z Barmanem  
i dwie lesbijki, z których jedną znam,  
zasną wtulone w siebie na kanapie.

## *Rondo*

Zapisuję zdarzenia  
zimy są rodzajem wodospadu

i nie brzmi to absurdalnie.  
Złodzieje wydają się  
nieruchomym stawem, w którym  
znikają przedmioty. Ale słowa  
dzieją się tak źle jak oni,  
zgarniają nas i na pętli  
muszę ci odpowiedzieć:  
nic nie mam, zniknęło.

Idziemy do domu, który zbudowano  
na miejscu ogrodu.  
Pamiętam wiatr,  
co wyginał gałęzie, gdzieś zapisałem  
ten wiatr i teraz płacze się w umyśle  
drgająca witka leszczyny,  
ruchliwa jak oszołomiony węgorz.  
Zamiast podłogi gałęzie,  
konar zamiast sufitu, sypialnia  
pełna zimnych i wilgotnych liści.

Teraz jest tu pusto, dom stracił zęby  
dziaśła rozmiękły i mięśnie drżą,  
rosa osadza się na niezdrowej skórze.  
Linoleum traci połysk za dnia,  
budzi się nocą, kurcząc i pękając.  
Dzielnica jest zła i złe są urzędy,  
zła pogoda i źle dobrane słowa, by  
opisać ten stan — krzyk orlika  
nagrany przez ornitologa, jego  
głos jak szron.  
Mam suchy język i nie chcę  
klepać modlitw. Nawet nie  
dochodzimy do furtki, kiedy  
zmieniam plan. Lepiej zostać  
tutaj. Patrzeć jak na sąsiedniej  
parceli kopia fundamenty.

## *Czarna owca — lotki*

W jej dłoni to nie żadna broń,  
a jednak zręcznie ciśnięta, dałaby nam  
zagadkową śmierć i parę nagłówków w gazetach.

Zresztą nie jest sama.  
W tej części sali oddzielonej nami jak murem  
one dominują. W głosach rozpoznaję  
psie warczenie i werble, niejasno przypominam  
sobie mit o rozszarpaniu, to dobrze  
być tak rozszarpanym?

Pomiędzy nimi eteryczne porozumienie,  
ruchy ciała zsynchronizowane ze sobą  
i na myśl przychodzi studzienka  
z zapalek, a właściwie ostatnia  
faza budowy, gdy wstrzymuje się oddech,

by wszystko nie runęło i właśnie  
w takiej chwili pojawia się gość-idiota,  
niepewny ruch niweczy wszystko.

Niwecz — to właśnie słowo tak nęci,  
gdy patrzę jak odchylają ramiona  
i rzucają w tarczę.

Nie kojarzę tych cieni z niczym,  
są własne.

## *Małe liturgie*

Teraz, kiedy palimy ubrania i papiery  
i jest minus dziesięć stopni — wciskamy się  
w tę biel, jakby była ogromną poduszką.

Dla patrzących z góry (jeśli są tacy),  
musimy być wrednymi stworkami, które  
tworzą czarną plamę, płaczą nad nią —  
i dokładają do ognia, żeby czern była  
jeszcze czarniejsza.

Trochę to nielogiczne dla nich,  
woleliby pewnie wszystkie te ptasie  
ruchy na drążku, przewracanie oczami,  
wypieki na policzkach, stroszenie piór  
i wieczorny lament; a tu nic z tego,  
przedstawienie jest ascetyczne jak  
liturgia zen. Czern, biel, dłoń i szmaty.

Gdzieś na zachodzie wielki czerwony  
Budda Amithaba uśmiecha się i szepcze,  
że wszystko jest kwestią umysłu.  
Pozbywamy się zbędnych przedmiotów,  
po prostu. Po prostu, ale przedmioty,  
uczucia, całe to życie to jeszcze nie to.  
Jest jeszcze pamięć

i „całe to bagno z pieniędzmi”.

## *Piszemy operę*

Zima i wszystkie z nią związane kurwy  
zbliżają się do nas z tamtej strony nieba.

Chodzi być może o rachunki za prąd,  
grube ubranie i możliwość grypy.

A z tamtej strony nieba jest ciepło,  
są dalekie kontynenty i nowe wrażenia.

Mieliśmy pisać z Prochaską operę,  
lecz na razie brzmi tylko uwertura.

Nie do uniknięcia jest zły człowiek  
na scenie i jego śmierć w ostatnim akcie.

Materiał jest na razie jak piasek,  
a potrzebne są tajne obrzędy.

Będziemy udawać śpiewaków, którzy  
udają, że nie są prawdziwi.

To właśnie dziwi: prosty zbiór dźwięków  
powtarzanych bez końca, tak pięknie.

## *Pokoiki do wygaśnięcia*

„Odczuwamy bezkształtny strumień powietrza”  
i sen jest formą echa. Wewnętrzny głos  
a w jego nurcie inny jeszcze, jakby rdzeń?

A z czego się składa ta piosenka,  
to akwarium tonów, ten sklepik cichy  
po szesnastej w niedzielę na Podolanach?

Rozluźniam mięśnie grzbietu i słucham,  
z którymś oddechem przyjdzie zrozumienie,  
wtedy jeśli powiem *jasno*, to będzie to  
powiedziane.

Rozprasza mnie myśl, że poza słowami  
istnieje jeszcze tyle „tonów składowych”,  
w ciele budzi się ochota, by się zachłysnąć,  
zapowietrzyć i błysnąć jak magnezja,  
ale to niemożliwe.

Upchnąć się całkiem  
w słowach i wysłać, to jest marzenie,  
aż pod powiekami przemyka cień i żyłka  
drga w oku jakby chciała pęknąć,  
lecz nic się nie dzieje:

„Mały jadowity ludek  
pracuje spokojnie i draży głębokie tunele,  
rzeka podnosi się i zalewa wszystko,  
tylko w świecie widać jej piękno”.

## *Dzień dobry dźwięku*

Wąlickiej piwnica zawaliła się latem.  
Podmyło dom bezustanne gadanie.  
Sam brałem w tym udział, siedziałem na schodach  
i opowiadałem sny erotyczne  
z tobą na scenie.

To znak?  
Czy już trzeba by przemilczać niektóre  
frazy?

W kolejce do ucieczki pierwszy  
czuje się trochę głupio, tyle tu cząstek i drobinek,  
ceremoniałów i obrządków, które żal opuścić —  
wszystkie te rybie fantazmaty, pokrętne  
i powymyślane historyjki,  
czysta źródłana fikcja —

czy będą trwałe bez treści puste foremki?

Czy dotknie czule ktoś, kto miejsce przejmie  
i rolę?

Wszyscy chcą się bawić w październik  
i wygnanie z raju.

Za szelestem liści  
słysząc dźwięk domowych pianin.

## *Pierwsza piosenka*

Puch, zapach, pamięć nieskomplikowana.  
Skorupka winniczka zgnieciona pod butem.  
Dzwonecznik z utopioną muchą.  
Kamień nad Kwisą. Jajecznicą rankiem.  
Ręczna robótka przy samochodzie,  
jazda bez świateł po wąskiej ulicy.  
Szelest tej kurtki, znajomy tak bardzo,  
że o pomyłce nie może być mowy.  
A jednak to tylko nerw pod powieką  
drga bezradnie i dręczy.  
Noc w ramach zemsty nie przychodzi wcale.

## *Kantyczki pana Sommera*

I  
Szaleję za tym momentem w ciągu  
dnia, gdy ruch już przygasa  
i czas zdaje się lekko utykać  
(jak ten brudny chłopiec) w biegu.

Wszystko jest złudzeniem, nawet  
seans w podziemnym kinie,  
gdy po południu zamiast dialogów  
słysząc warkot motorów, szum szynowych  
pojazdów i słuch defloruje kilkuset

przyjezdnych, znęcających się  
na dworcowej hali nad planem miasta.

Gdzie iść, zdają się pytać te oczy  
w otulinie z soczewek kontaktowych —  
czy jakakolwiek ścieżka jest własna?

Cokolwiek powiedzą, baczny wzrok  
Kasjerki rejestruje ich twarze,  
całkiem jak przemysłowa kamera.  
Choć pozornie podstemplowuje bilety,  
przeświewla ich i ich mrok.

Znam ją doskonale i bez potrzeby  
nie podchodzę do kasy. Wolę  
trzymać się z daleka, niech inni kupują  
bilety, ja w końcu mogę poczekać.  
Półślepy wychodzę na zewnątrz  
i w trawę rzucam niedopalek.

## *Nad Odrą*

Dziadek Barczuk umierał na raka  
w Kostrzynie nad Odrą. Tam było pełno mew  
i dlatego to są martwe ptaki.

Dni już nie pamiętam, ale są ścieżki,  
znaki wydrapane w małym kamieniu.  
Na przykład studnia, którą czyścił,  
a do której ja wrzucałem śmieci i zabawki.

Pulchny jak laleczka, w zielonym sweterku,  
buła z plasteliny, wrzeszczałem  
kiedy wyszedł z niej w gumowym ubraniu.

Chciałbym powiedzieć: cały  
w wodorostach, z wodnym bogiem we włosach,  
z błyskiem w oku, jakby odkrył  
tajemnicę, którą — wiecie — przekazał mnie.  
Lecz nie powiem, był suchy i miał  
szeroką szczękę, żółtą skórę  
i sękatę dłoń.

Dotykam drzewa — tak myślałem wtedy  
i nie myliłem się wcale.

## *Prokofiev Andante Sognando*

Przyszło nam Marku mieszkać na dnie morza,  
bez snu i jedzenia, w kącie, tam przy desce,  
gdzie krab wśród jabłek szyderczo porusza  
nierealnymi szczypcami, bo jabłka są tu wszędzie,  
tak jak i ludzie tu wszędzie, i wszystko jest  
ludzkie w zasadzie, nawet krab i dno i piasek,  
w końcu nawet woda Marku jest tu czymś człowieczym.

Mieliśmy mieszkać gdzie indziej, lecz ponury  
schemat otulił nasze ciała i wyładowaliśmy.  
Teraz twarz twoja jest bąblem powietrza, można  
na nią patrzeć z boku jak na wykrzywioną maskę.  
Chce mówić, ale z ust płynie strumień wody,  
ryby wokół zbierają się, by patrzeć, coraz ich  
więcej wokół twoich ramion.

## *Senne saneczki*

Czy mnie potępisz, śpiący między szynami  
liściu lopianu,  
kiedy się głucho odbijają od ciebie  
pomruki pierwszych przechodniów?

Gdybyś się nagle uniósł, mógłbyś całkiem  
zakryć tę wiatę na Kórnickiej,  
gdzie czekam na szóstkę i wymyślam, co  
powiem szefowi, gdy zapyta, dlaczego  
tak późno przychodzę.

Mógłbyś mnie otulić i zwinąć się jak cygaro,  
tak, żebym mógł przeczekać atak mgły  
i ten chłód, który się wzmaga i rodzi  
podejrzeń, że nie zatrzyma się wcale.

Mógłbyś też (wcale nie żartuję) stać  
się tym tajemnym zieleńcem, które daje  
przez chwilę wrażenie, że jest się bez ciała.  
Ale ty jesteś postrzępiony i żółkniesz  
w kilku miejscach naraz.

Jeszcze kilka  
dni i nie zobaczę cię tu wcale — senne saneczki  
będą ześlizgiwać się z pagórka,  
dzieci ugniotą śnieg, wdrapując się pod górę,  
będę wsiadał na innym przystanku.

## *Deszcz na Czajczej*

Gdyby to była ulica  
prowadząca w dół,  
do oceanu, wystarczyłby  
rozbieg, potem skok  
i leżąc w chłodnej wodzie  
patrzyłbym jak mewa  
krąży ponad plażą,  
(zawzięta idiotka).

W końcu ukazałby się potwór  
z wody w płucach  
i pod powiekami,



chwila grozy starczyłaby  
by uciec do domu,  
gdzie zawsze się pali  
żółte elektryczne światło.

Lecz to, co tu jest,  
to ledwie kałuża po  
deszczu i samochód, który  
ochlapał mnie właśnie.  
No i myśl, że jest coś  
religijnego w tym zimnie  
i błocie ściekającym  
z twarzy tak powoli

że można zrozumieć  
język-szum.  
Zgłoski zlepione  
galaretowatym wdziękiem.

Tę chwilę przed następną  
falą błota,  
między osobówką a tirem.

## *Wiersz osobisty*

Niech Buddowie i Bodhisattvowie  
błogosławią mojego Marka.  
Jego oddech płytki i szybkie spojrzenia,  
dźwięk przelanej śliny i lęk przed czasem,  
taki jak mój.  
I jego tętno i taniec nad ranem przy Św. Marcinie  
i też taksówkę, jazdę bez trzymania się zasad,  
zbite szklanki, skaleczenia nocą,  
wychodzenie przed czasem z najlepszej imprezy.  
Tę drogę w dół, która każdemu z nas znaczy  
twarze i dłonie, stopy i usta, bez której bylibyśmy  
jak porzucone przez ptaki gałęzie,  
ciemniejsi o ton  
i mniej obecni niż teraz, kiedy stoimy  
przy kiosku i patrzymy na tych, co dzwonią  
i tych, co przechodzą.  
Niech błogosławią, kiedy wszystko jest  
odległe i dzieje się teraz, dzwonek tramwaju  
i syk opon, puszkę po farbie, którą wiatr popycha,  
lecz ona obraca się wokół własnej osi,  
unieruchomiona przez kamień.

## *Drukarenka głodu*

I  
Pisze się duże, głębokie litery,  
głębokie jak jeziora, nerwowe jak rzeki,

pospieszne jak masturbacja w łazience  
ekspresu, który sunie przez środek Europy.  
Z tych liter nic nie wynika, żaden kwiat,  
jemioła albo złamana łodyżka,  
tajemny sok, trucizna lub napój miłosny,  
który podaje jedna kurwa drugiej.  
Wszystkie te teatralne spowiedzi,  
te lalki umazane szminką, umiłowani  
w Bogu sąsiedzi, wszystko zatapia się  
w powodzi sinego światła.

2

Nie spodziewałem się pęknięcia, więc  
nie unikałem zrywanych zasłon, wrzasku,  
racy na niebie, krwi w przedsionku serca,  
no i tego dziecka znalezionego zaraz potem.  
Co za historia z tym dzieckiem, wyplatanym  
z żył i ścięgien, z bolesnego kiczu, jak fotel  
z wikliny, żeby tylko usiąść, pobujać się i spać.  
Spieszę się kochać, bo śmierć mnie dopadnie  
nagiego, w pościeli, sepleniącego do poduszki,  
że mogłem zadzwonić, zadzwonić, lecz  
nie miałem siły i teraz natura wlewa się tu zewsząd.  
Ptaki wieszczą śmierć, a mechanizm utyka,  
muzyka dociera, lecz matowo i głucho.

3

Pisze się głębokie, czarne litery, i krzywi,  
na myśl, że w druku wyjdą inaczej.  
Trucizny dziś mało kogo obchodzą  
a śmierć jest podlejszego gatunku.  
Dziś, gdybym miał telefon komórkowy,  
dzwoniłbym do ciebie, prze całą drogę.  
Powiedziałbym: przygotuj sobie zęby,  
przygotuj stopy i dłonie, ulecz sutki  
i zimno na wargach posmaruj maścią.  
Niech twoje uda będą blade i drżące  
jak wtedy, gdy nad jeziorem zatapiałem  
w nich wzrok i myślałem o topielcach.  
Jak im się wiedzie pod wodą, jak?  
Ci, którzy zawsze pozostają na brzegu  
w żółtych sztormowych kurtkach —  
chciałem być jednym z nich dla ciebie  
niezatapialnym, w gumowych butach  
po brodzie. Patrząc w resztkę kawy  
drżącą w kubku, gdy pociąg hamuje,  
widzę ich właśnie:  
dziecinnych jak wycinanki poławiaczy.

4

Tik-tak, pamiętam błoto i kamyk,  
lustro i sznurek, tabletkę, tapetę, i ułamek zęba.  
Drukarenkę, na której z gumowych liter  
układałem twoje i moje nazwiska.  
Tysiące nazw własnych, głodnych, niespożytych,  
całe psalmy radosne, wysadzane  
w powietrze korkami kupowanymi na strzelnicy.

Zdjęcia korzeni o dziwacznych kształtach  
i gałęzi splątanych tak, że przypominały twarze.  
Butelkę po mleku, w której schowaliśmy skarb;  
inicjał wydrukowany na skórce, która zeszła ci  
z pleców. Woreczek z kurzem zebrany  
z podłogi, ścinki włosów, spermę we fiolce.  
Zakopałem to wszystko pod drzewem, myśląc,  
że nie umrę dopóki ta drukarenka będzie  
jak tama bronić przed wywarem rzeczy,  
które uroniłem, a o których śniesz ty.

5

Połowa mnie w tobie, a druga odchodzi  
tym wąskim chodnikiem, obryzgana błotem.  
To błoto jest ważniejsze od innych obrazów,  
ściekające wolno po błękitnej nogawce,  
tak wolno, że rejestruję zmiany, utykam  
lekką, żeby nabrało dramatyzmu  
to proste, bez fabuły, przedstawienie.  
I pojawia się błazen i doktor, i kobieta  
w foliowym płaszczu, obojętna jak drzewo.  
Przechyla głowę, rozgląda się ptasio,  
odchodzi zostawiając płaskie mokre ślady.  
Piszę głębokie, mokre litery, truciznę  
dla suchej powierzchni, zdzieram opuszki  
palców, wydrapuję kamyki, żeby było gładko.

## *Estella*

*M. G.*

Co chciałbyś nam powiedzieć  
mały filozofie, kruszynko światła?

Popatrz, mam takie wąskie usta,  
kiedy się śniesz, przechodzę przez bramę.  
Czy myślisz, że któregoś snu utknę  
na zawsze, jarząc się przez chwilę  
jak brutalnie zalane wodą ognisko,  
skierki unoszące się w powietrzu?

Czy może zostanę jak popiół?  
W drobnych dłoniach będziesz  
mnie trzymał i w ptasi sposób  
podglądał, czy ta szarość oddycha?

Może przesadziłem z dłońmi,  
trzeba było powiedzieć o powietrzu,  
o lotności, o linoskoczku. Śmierć  
trzyma nas wszystkich w garści  
i potrząsa, jakbyśmy byli srebrnymi  
solniczkami, w restauracji Estella,  
i ma twarz pana kelnera, kiedy  
na tacce podaje rachunek. Gdy  
wychodzimy, uśmiecha się i znika

za ciężką czerwoną kotarą.  
To scena? Takie się rodzi pytanie,  
a potem obłoczek pary w powietrzu  
znów zamienia się w twoje oko,  
o którym znajomy buddysta powiedział:  
piękna mandala, piękna.

Coś chciałoby się usłyszeć, choć  
jesteś przypomnieniem, kanarkiem  
w klatce, karykaturą widoku.  
Lecz być może nie można inaczej,  
trzeba mierzyć palcami odległość  
i oczekiwać świtu, półdrzemiąc  
na ławce przy ulicy Mostowej.

## *Wiersze na głos i perkusję*

Wszystko zależy od Zety i kasy,  
deszcz nawet, który wyrócił  
donicę na werandzie. Rododendron  
ze swymi bezradnymi liśćmi  
nasiąka teraz chemikaliami, coś  
brudnego czai się za tym obrazem.

Liczę w myślach pieniądze,  
bębni jednak intensywnie. Gdyby  
wystawić na ten deszcz perkusję,  
byłaby z tego niezła muzyka,  
naturalny automat. Krople spadając  
na blachy wprawiałyby je w drżenie  
i szelest łączyłby się z płynącą  
strugami wodą. Tak, za tym obrazem  
drzemie coś brudnego, choć  
błyskawica tu nie przybędzie  
by rozjaśnić mrok. Co najwyżej  
odetną prąd i doliczę się tych  
rzeczy, na które mnie nie stać.  
Ciemności kosztują tyle, co światło.

## *Ci faceci w czótenkach*

tkających na wodzie wzór nie do odczytania,  
pracują wszystkimi mięśniami.

Nawet ich szczęki prują wodę jakby darły  
tkaninę z napisem „Malta 2001”.

Siedzę tuż przy jeziorze i myślę,  
że też jesteśmy z wody. Wielki ocean  
wylałby się z nas wszystkich tu zgromadzonych.

Przepłynął kajak,  
smuga po nim znika — piana się jeszcze  
kołysze, lecz następna fala ją niszczy.

Dziecku obok pęka balon i spiker  
ogłasza koniec mistrzostw świata.

## *Kantyczki panna Sommera*

2

Przed chwilą dzieci pytały mnie  
o literaturę i, wiesz, stałem się jak zegar;  
chodzę w tłumie, ale to nie jest wskazanie,  
to tylko błąd przyzwyczajenia.

Mogłem stać się rybą, wazonem  
lub czystą sentencją, język  
złapałbym na gorącym uczynku,  
mógłbym powplatać się w rzeczywistość  
tylko czy komuś potrzebny gobelin?

Glob i owszem, ludzie lubią okrągłe.  
Boją się płaskiego, no i szczelin,  
stamtąd zawsze może wyjść przyczajony  
konduktor i zażądać biletów,  
co drugi ich nie ma i szczyrzy zęby,  
ale taryfy ulgowe nie istnieją.

Wszystko to ładnie wygląda, stół,  
karta dań i to, że jest wybór;  
osnuwać słowami chwilę,  
to wydaje się kuszące, a potem jak  
pająk wyssać ją i pusty kokon  
zostawić dla pamięci.

Niech dziecko tam chodzi i uderza,  
niech wierzy, że dźwięk jest pełen znaczenia.  
W końcu po to ustawiłem w tej ciszy  
ten niemożliwy instrument.

## *Kriegsmarine<sup>1</sup>*

Wyrzuciło nas na plażę między  
Niechorzem a Rewalem.  
Zatonąłem jak łódź podwodna kapitana Hirscha.

Kriegsmarine byłaby dumna, widząc jak idę na dno,  
jak odmierzam dno, jak dnem się staję między  
brzaskiem a dniem, wpadając ci w oko  
w światłach dyskoteki, gdy pytasz mnie,

---

<sup>1</sup>*Kriegsmarine* (niem.) — marynarka wojenna. [przypis edytorski]

jak się czuję w tej koszulce oblepionej  
wodorostami i czy mogę ją zdjąć.

Chcesz rzucić okiem na tors, na nogi, na uda,  
na jądra kołyszące się jak dzwony,  
na to skwaszone podniebienie.

Chcesz mi usta językiem, taką wielką mową,  
większą niż mowa najświętszego ze świętych,  
otworzyć, żebym mógł mówić,  
żebym mówił wiele, żeby z tego  
mówienia zrodziło się istnienie.

Lecz nic nie zdjąłem, nie pokazałem,  
nie ruszyłem się z miejsca.

Patrzyłem jak asfalt paruje.  
Jak się woda-ptak zrywa ku niebu.  
Z miną obojętnego onanisty  
położyłem się na placu, gdzie  
przed chwilą kołowały najnowsze  
wielkie samochody.

Słuchałem jak dudni.  
Słuchałem jak dnieje.  
Drzewo bez gałęzi widziałem  
pod powieką.

## *Wariacje listowe „Vischer odchodzi”*

I

Wskaż drogę żałobie, jeśli sama jej nie zna.  
Inaczej ugrzęźnie i na jednej częstotliwości  
będzie nadawać swój program z ponurego  
studia.

Na deskach werandy swą werystyczną  
mordę położy jak wyleniła suka, w jej uszach  
dźwięk fletu będzie bezustannym żalem.

Och i żadnego tao ni nirwany, żadnych  
fajerwerków w gwiazdkową noc, tylko  
ta chwila wyluskana jak groch brzęcząca  
w upiornej grzechotce.  
Poznałem ten cytat z nagich gałęzi;  
to zimowe jabłko oblodzone całkiem,  
na tle bezchmurnego nieba.

Błysk zrozumienia przed nagłą śnieżycą.

2

Kim jesteś Vischer  
to niejasne i twoje idylliczne  
życie też jest ciemnością.  
Stadko synogarlic  
nawołuje cię lekko

i trznadle pazurkami  
chwytają nieobecność.  
Smog też chce pewności,  
że jesteś gdzieś w pobliżu  
węszy, ale nie znajduje.  
W gnieździe wilg  
twój wilgotny ślad

## *Mahler forever*

O Röschen roth<sup>2</sup>! Tak mistrzowie  
posługują się cytatem. Stoję na  
progu i myślę jak dźwięk  
przenika twoje ciało. Czy jest  
jak niebieskawe płomyki gazu?  
Jak ta pianka na wodzie,  
gdy pod ciśnieniem wypływa  
z kranu? Boję się myśleć o mgłę  
wśród żerdzi, na których  
opierają się krzaki pomidorów;  
czy dźwięk jest jak ona, czy może jak  
te krzaki — odnogi w różne strony  
niesymetryczne łodygi i liście?

Czy mógłbym dźwięk przełożyć  
na dotyk? Rankiem to dobre pytanie,  
gdy stożkowate dachy poniemieckich  
domków zaczynają się rozjaśniać.  
Ulica jest jeszcze zamroczona,  
ale przecież jest nisko, *nisko*, tak,  
że nie słyszy mojego pytania.  
Czy to nie głupio uklęknąć i brukowi  
szeptać do kamiennego ucha?  
Czy to nie głupio tak straszyć  
Biegańską,  
która podgląda ze swojego okna?  
Ona już biegnie tutaj i poły szlafroka  
furekoczą jak flagi. O ten dźwięk nocą  
chodziło, w zamierającym akordzie;  
na jego tle  
ostatnie w perkusji taneczne akcenty.

## *W starym stylu*

I oto umarła nam kompletnie.  
Martwa jest noga i szorstka pięta.  
Zgięcie w kolanie też świeci pustką.  
A z ciepła brzucha pozostał popiół,  
czarna saszetka wypełniona puchem.

---

<sup>2</sup>O *Röschen roth* — fragment wiersza Johanna Wolfganga Goethego wykorzystany w II symfonii Mahlera.  
[przypis edytorski]

Nawet papieros, ten nędzny motyl,  
złączenie płuc, trucizny i oddechu,  
jest tylko napisem na słupie ogłoszeń,  
który nic nie mówi przechodniom.  
Bo martwe są usta, którymi on włada.

I nawet ja, leżący przed południem  
w zatęchłej już nieco pościeli,  
jedenorazowy jak strzykawka, nasiąkam  
jak wacik i ciemniej wewnątrz.

Choć chciałbym rozjaśnić się i ufarbować,  
zmienić ton i przebieg rozmowy,  
to jednak głos pozostaje głuchy  
na inne brzmienia poza własnym brzmieniem.

## *Alfabet prywatny*

W powietrzu na Mogileńskiej  
nie ma żadnego żywiołu, snuje się  
i popycha balon, który pozostał tutaj  
po niedawnym sylwestrze.  
Ciągnie za sobą także  
książeczkę świadków Jehowy,  
która otwarta grzbietem do góry  
karmi się śniegiem z pobocza.  
Jest jak w kasynie, do końca nie wiadomo,  
która litera puści farbę.  
Tuż za nią torba fistaszków  
szamocze się w krzaku, ekscentryczna  
jak kanarek, z otwartej paszczy  
wysypuje lupiny i to jest rodzaj  
śpiewu, chrzęst i chrobot ledwie  
wyczuwalny w melodyjnych poświstach.  
Nic mnie nie łączy z cyrkiem chwastów  
do połowy przysypanych śniegiem,  
poruszam się w drugą stronę i mijam  
ich bezruch. W taką pogodę trzeba  
krążyć i własne ślady opatrywać  
milczeniem. Miła jest ta logika kroku,  
te repetycje dodające otuchy,  
chrzęst i znak na śniegu.

## *Malta*

Tu kończy się bajka. Zamykam  
więc oczy i już nie trzeba się oczyszczać.

Wiersz jest jak zespół luster, obraz  
odsyła do obrazu, błyski pojawiają się  
na zewnątrz, gdy ktoś odpala papierosa lub  
świeci latarką w ziemię wokół kwiatów,



szukając rosówek, które polkną ryby,  
które pan kucharz i wiadomo co dalej.

Naczynia się łączą w delikatnym seksie,  
naczynia na umysł, śmierć, życie, herbatę.  
A strych i piwnica to są labirynty  
i kości czaszki służą jak materiał  
do zwieńczenia makabrycznego żartu.

Będziemy pili z własnej czaszki, jeśli  
tylko zręcznie i chyżo wypowiem zaklęcie.

Lecz milczę, patrząc jak wpisujesz  
w rubryki cyfry i łacińskie nazwy,  
obserwuję rękaw twojej koszuli  
i diabeł mnie kusi, by pisać o nim,  
jakby w ten materiał wcieliła się potęga  
wszechświata, lecz cytat, tytuł znany  
z dzieciństwa, w jakąś fałdkę mózgu  
zawinął się niegdyś i właśnie zbudził;  
jest tylko rzeczywistość i właśnie jej nie ma.

Powtarzając tę mantrę, wychodzę na balkon.  
Burza nadciąga od strony Malty.

## *Mat o brzasku*

Wypiliśmy trochę, więc zaszło słońce.  
Przed przejazdem kolejowym ustawiona szachownica.  
Dróżnik jak kot. I gubiłem się w zakurzonej szybie,  
sądząc, że ty się odbijasz, nie ja.

Resztę milczenia we mnie otwierał ten widok:  
taksówki ciągnące pod górę, wyjące jak w procesji,  
przy każdym zakręcie.  
Mówiłem ci:  
święto ciała zaczyna się o tej porze,  
włosy stroszą się i elektryzuje skóra.

Kto posłał te metalowe chrząszcze, ażeby błędziły  
po wąskich drogach? To jedynie cię zajmowało:  
ruch skoczka i przegrana, za pierwszym razem  
przełknięta jak zimna herbata.

Tego się spodziewałem.  
Ryku silników, powolnego dudnienia, kurzu na wargach.  
Mówiłem: jadą z pobliskiego miasteczka,  
mówiłem: oczyść się, rękawem przetrzyj, albo  
wstań i umyj.  
Odpowiedź zawsze była ta sama.

Świczysz w ciemnościach chłopcze,  
masz mata.

## *II lutego 2002*

Pamiętam śniegu,  
żeby cię pozdrowić,  
kiedy jest poniżej zera.  
Kończysz się  
w wyższych temperaturach,  
tak jak ja na skutek  
myślenia, ale  
zatrzymać się nie da;  
rój głosek w mózgu  
wciąż się powiela  
i przebija przez  
chęć, by zapomnieć.

W czymkolwiek  
się roztopisz, zawsze  
nadejdzie pora,  
że coś z ciebie wróci  
na trawnik przy bloku,  
mnie też nie leczy  
ta myśl — stoję  
po kostki w tobie.

Jest świt.

## *Książeczka dla Marka*

Wiersze nie mają tytułów  
i firany wybrzuszą się też niezatytułowane,  
dobrze by było, gdyby żadnych nazw  
nie wytrawiał na płytce podstępny lokator;  
lecz nie ma wyjścia — zaryglowani  
siedzimy w tym puchu, ja, ty i tych  
paru facetów, z którymi cię zdradziłem.

Z kuchni dobiega dźwięk — to Tomasz  
parzy herbatę — dźwięk wielokrotnie złożony  
jak zdanie, przypomina o dwugłosie:  
w najdoskonalszej  
konstrukcji przychodzi moment, gdy  
nie ma stykających się ramion.

Więc nie stykamy się, no i nie mówimy,  
z dzióbka czajniczka leje się woda  
ja, ty i tych paru facetów — też pewnie  
zdradzanych — słuchamy przez moment;  
dzyń łyżeczki kończy rozmyślanie,  
skrzypienie drzwi przekreśla je całkiem.

## Druga piosenka

Nieszczelne okna i kiepska pogoda,  
stare gazety wciskam w szpary,  
a i tak świszczy i zawodzi.  
Nieszczęśliwy jest ten okienny prorok  
i mówi, jakby nie chciał być zrozumiany.  
Wyłączyłem telewizor, pralkę i lodówkę.  
Jedno słowo złapać w ten sposób  
to sukces, dwa to mistyka; zdanie  
byłoby jak objawienie. Napisać później  
komentarz i dać tytuł „Opowieści szczeliny”,  
przez moment wierzę, że może się udać,  
i to wystarcza, żeby poczuć zdziwienie.

## Blizny

Już bielutkie jak nitki strzępiące się  
na prześcieradle,  
zapamiętałem, tak jak nosowe mon frere.

Śnieg też utkwił w pamięci,  
kawał lodu właściwie,  
można by się w nim przejrzeć,  
gdyby tak nie zniekształcał.

I okno — to ważne — całkiem otwarte.

Zapamiętałem gołębia na sąsiednim  
parapecie, o którym pomyśleliśmy,  
że jest kamerą i śledzi nas mozolnie  
i praśnie, wysyłając do gołębiego  
nieba co pikantniejsze kawałki.

A ptasi widzowie pomstują  
na nasze zezwierzęcenie  
i to, że w ich oczach jesteśmy martwi,  
przywiązani do siebie i nadziei;

później deszcz go spłoszył  
i wybuch wulkanu w telewizorze.  
Byłoby dobrze gdyby został,  
ślad byłby wyraźny, a tak z pamięci  
wylaniała się strużka potu,  
kamień, co przeleciał przez rynnę  
z wielkim rumorem, i pranie łopoczące  
jak flagi przy państwowym święcie.

Szum wody, już później w nocy,  
myśl o kukielkach i kukurydzy,  
wszystko namalowane na tekturze,  
pornograficzny komiks pod powieką.

## *Kalekie kontynenty*

Wąska uliczka Jaskółcza lub Kozia,  
domy jak gdyby pną się ku górze.

Mam wrażenie, że to tunel,  
który jest przełykiem węża.

Opierasz się o ścianę  
i mówisz: niemożliwe.

A przecież nie da się wykluczyć,  
że jesteśmy drobinkami jadu  
i rośniemy, by zatruć te cegły, okna, dachy,  
że istniejemy, by psuć drzwi wewnątrz węża,  
by jego żebra brać za mosty i skakać z nich  
w rzekę jego zimnej krwi.

## *Elegia sucholeska*

Gdybym krzyknął, nie usłyszałby mnie nikt,  
anielskie zastępy to sztuczne włosy — peruczka  
kiedyś przyciskana do serca przez starszego pana,  
która musiała umrzeć, choć jeszcze się stroży,  
tu na wysypisku.

Przerazić się tej „rzeczy” to wstyd,  
beznamiętnie podziwiać też nie można — jej kolor  
pękł i pękają też rzeczy wokół niej, jakby  
zadomowiła się tu jakaś istota, wirus albo  
owo beznamiętne „coś jeszcze”, czynnik iks.

Zadomowić się tutaj to niemożliwe, chociaż są  
mieszkańcy — ptasi jazgot unosi się nad  
kępkami traw, które pokryły już stertę ubrań  
i puchną od mchu kraciaste koszule i spodnie,  
jakby na nowo — po porzuceniu — wypełniało je ciało.

Ale tu nie da się kochać, bo język jest bezradny  
wobec fragmentów szczątków i zapożyczeń:  
twarz tutaj, to jest ślad po rozmowie, głos  
usłyszany, gdy przez szczelinę w reszcie muru  
przepływa powietrze  
i śpiewa ów nikt będący tu wszędzie.

Gdybym krzyknął, nawet gdybym to zrobił,  
to *co* usłyszałby ów słuchający, bohater bez cienia  
i możliwości podróży?

Gdzie w słowie „pragnąć” giętkość się odzywa,  
w którym miejscu błyska możliwość zrozumienia —  
nie wiem, między zgięciem kolan (żeby tu usiąść)  
a chłodem od ziemi jest tylko widok.

Kochać

to dużo, żeby nie powiedzieć za wiele. Ten widok —  
peruczka u stóp — dostarcza wszelkich wyjaśnień.  
Jej pleśń od wewnątrz i połysk, gdy słońce oświetla,  
to jest język nie do przełożenia — onieśmiela i kusi,  
żeby wyciągnąć dłoń i dotknąć. Lecz niczego nie zmieni  
ten gest. I pozostanie pusty.

I nic, żadnych wieści, telefon głuchnie w dłoni,  
choć jest zasięg, granica jest dalej.  
Zmienić trzeba przyzwyczajenia i dróżki, bo można  
spotkać własną zdradę, a wtedy zaświeci ci w twarz  
i będziesz musiał opowiedzieć, a nie ma żadnej historii,  
są dzieci błakające się bez celu po Szewskiej  
i Wroneckiej — gdzie już nie możesz chodzić.

A płonie coś, płonie na dłoniach, jest zaśpiewem ptaków,  
choć słyszysz to od ludzi, pod bramą  
na Różanej, gdzie rosną drzewa morwy.

Klucz, który  
otwierał drzwi mieszkania, leży przy źdźble trawy,  
trawa wypełnia twoje myślenie,  
toczy się trwanie jak kulka śniegu, ciągnie za sobą  
i mnie też nie zna, jak wszystkich przede mną,  
żadnego przestoju, zmiany taktu czy rytmu:

to płonie tak, płonie ta dłoń.

## *Zmowa dzielenia*

Nie was mieliśmy na myśli senne grubaski,  
rzucając szklanką w ścianę obok — to szkło  
wykrzywiło mi policzki, a jemu zacisnęło usta.  
Żadna myśl o was nie przeszła przez  
zranioną czaszkę i jego zimne oczy na was  
nie spojrzały, w żaden sposób.  
Gdybym miał dłonie wędrujące samotnie  
po sali pełnej ludzi, też by was ominęły —  
w waszej drzemce nie ma miejsca  
na chłodny sen o zdradzie,  
a takie jest dziś widowisko.

Światła, gdy przygasną, też dadzą wam spokój —  
śpijcie spokojnie w swych czarnych koszulach.

## *Autobus czerwony*

Piękny chłopiec.  
Piękny mocny.  
Piękny a śmiertelny.  
Ludzie w autobusie

patrzą na niego.  
Pełno jest spojrzeń,  
które go taksują.  
Kobiety i mężczyźni,  
dzieci i martwe przedmioty.  
Och, one szczególnie.  
Pełen martwych przedmiotów  
jest ten autobus, który  
wiezie chłopca.

I wszystkie spojrzenia  
są jakby jednym spojrzeniem,  
może dlatego, że jest tak realny,  
za długa jest koszulka  
za duże są buty?

Spojrzenie ma rozbiegane  
szczególnie na przystankach,  
jakby czekał i wypatrywał  
przy kolejnych wiatach  
kogoś, kogo zna lub  
kogoś, kto zna jego.

Lecz dojeżdża sam,  
i nie zamienia  
z nikim ani słowa.

Piękny chłopiec.  
Piękny mocny.  
Piękny a śmiertelny.  
Pełne są jego spojrzeń  
nasze nerwowe spojrzenia.

## *Powiedziałem:*

to musi być dziura pod mapą,  
przez którą tu wchodzi, a kiedy już  
rozprostują skrzydła, jest za późno — katastrofa.

Z pokoju socjalnego na pewno  
nie dochodzi żaden podejrzany dźwięk.  
Wiem, że gromadzone tam papierowe kubki  
już dawno odbiegły od normalności.  
To pomieszczenie z każdym dniem  
coraz bardziej przypomina kościół  
obwieszony dewocjonaliami,

więc wchodzi przez tę dziurę,  
żerują na twoich zdjęciach, urządzają sobie  
swobodne przeloty tam, gdzie byliśmy sami,  
przynajmniej do czasu, nim ktoś  
swoje kroki zaczynał odliczać  
na pustym korytarzu.

I nawet rzutnik, folię z wykresami,  
stosy papieru, grzbiety książek, stare  
długopisy, a także ruloniki, kalki,  
przerysowane długie zwoje, gliniane coś,  
leżące na biurku, spinacze, torebki  
z tajemniczym pyłem — opanowały.

Wszędzie ich ślady, podłużne smugi.  
Musiały znaleźć szczelinę w betonowej płycie;  
gdzieś na spojeniu jaskiniowy uskok,  
w budynku przypominającym kontynent.

I rzeczywiście nie mam nic do powiedzenia,  
brzęczenie otumania, wpadam w trans  
nad kartką, podczas gdy one zakreślają  
coraz mniejsze koła — lśniące w popołudniowym  
słońcu dwa wielkie szerszenie.

## *Sześć politycznych wierszy*

Ten chłopiec, którego poderwałem w Café,  
mówił, że umarł, uwierzyłem, choć uwierała  
jego dłoń pod moją głową.

Dlaczego ją podpierał, nie potrafię sobie  
przypomnieć, jak strączek fasoli,  
niczym martwa pacynka opadała po prostu  
w sen.

A śniło mi się, że pisałem  
sześć politycznych wierszy. Ktoś pisał  
esej o nich i na murach rozlepiał  
manifesty.

Dlaczego to był pies i jak się znalazła  
magiczna kula potrzebna, by wybuchł  
ogromny telewizor,  
nie potrafię wyjaśnić.

Pamiętam już po przebudzeniu,  
gdy jedliśmy śniadanie, drobinki kurzu  
wirowały w słońcu. Nie wiem, czy  
ma to jakieś znaczenie, że kiedy się zderzały  
leciały w dół, tak właśnie, leciały w dół.

## *Festiwal teatrów kukielkowych*

I  
Malutkie postacie pod Multikinem  
kołyszą się przy barierkach i nagle wybuchają,  
confetti spada, a każdy płatek papieru ma krople krwi.  
Kłuszczę i opadam na krzesło, by po chwili  
znów się zerwać. Stoję przy oknie, chwieję się  
jak pijaczek nad brzegiem basenu, ach woda,

ta najczarniejsza z metafor, znowu zwierzęco wypuszcza macki i otula goryczą, trudno zmartwychwstać, to zdarza się bohaterom wodewilów, kiedy z morskiej toni całych i zdrowych wypłują ich wieloryb.

2

Mój mały Mefisto, własne odbicie  
w połyskliwej resztkę kawy, szepcze i,  
choć nie rozumiem języka, wiem, że nim  
władza doskonale. W świecie odbić  
tylko takie przypuszczenie jest właściwe.  
Choć momentami, kiedy dłoń mi drży,  
ta twarz wygląda jak pogodowe fronty.  
Masy powietrza pędzą przed siebie  
i nie obchodzi ich małe przedstawienie  
dziewczynek z sąsiedniego bloku. Masy  
powietrza mają za nic historię foki  
i jej fiolki, i bezradność z jaką patrzymy  
na schody, przewidując słusznie, że,  
gdy stoczmy się lub nas zepchną, jakaś  
kość w małym światku nie wytrzyma.  
Lecz na razie potrafię utrzymać filiżankę,  
obracam ją i przyglądam się jak  
odmienia mi perspektywę. I wiem, że  
w końcu ktoś wypowie to zdanie:  
„jesteś w szklanej kuli i patrzę na ciebie,  
przewidując przyszłość z twoich  
ruchów gdy leżysz na starym tapczanie”,  
czy przejdzie mi wtedy przez myśl,  
że wszystko zależy ode mnie?

3

W oknie odbija się cień, ale on sam  
jest cieniem wyciętym z kartonu.  
Gdyby się uprzeć, karton to cień drzewa.  
Pomiędzy światłem i jego brakiem  
można krążyć bez końca. Z chlamu  
chwil rejestrowanych bez ustanku,  
zostaje osad, ochra, doskonała do barwienia.  
Barwa jakoś scala te wszystkie obrazki,  
bierze je pod skrzydła jak kwoka pisklęta  
i chociaż pijane to wszystko i niedorobione,  
to jednak ten potok jest własny i gdy  
wiotczają mięśnie, to on właśnie spycha  
nas delikatnie w głąb oceanu.

4

Największy holograf na świecie,  
pomiędzy kośćmi twojej czaszki, gdy leżysz  
w bezkształtnej pościeli, wyświetla  
reportaż z Festiwalu Teatrów Kukielkowych,  
jesteś tam wielorybem i wodą jednocześnie;  
panem księgowym z papierosem za uchem,  
panią menadżer ze złotym łańcuszkiem,  
który wprawia cię w trans, gdy kiwa się na  
jej szyi. Masz trochę czasu, nim spektakl



nabierze rozpędu, możesz pozwolić,  
by przyklejona do szyby twarz zostawiła  
karykaturalne odbicie. Nie chcesz noży  
na scenie, zastąpi je grad. Kukielki  
mrą, mruczając swoje kwestie i migoczą  
przez chwilę. Widzowie patrzą uniesieni,  
świecą ich oczy i drgają wargi.  
Później gdy sam gaśniesz, oni gasną z tobą.  
Towarzysze podróży  
bez zgody na odwrót.

## *Zagranica*

Tajny kodzie zagraniczny, Sroko,  
pierzasta raco, rozdwojona jak księżyc  
na te tam ciemne strony, w których  
morza, łodzie, algi i wodorosty,

o których nie umiem powiedzieć wprost,  
że mnie urodziły, ale coś jest  
w tym ciemnym zakątku ich pamięci,  
że kiedy cię widzę, prawie natychmiast

widzę twoje gniazdo. Niebezpiecznie  
widoczne. Kupkę gałęzi zrzuconych  
z góry, na wylepioną błotem ziemiankę,  
gdzie siedzisz, błyskając oczami. I ja

też siedzę, jak mnich w medytacji,  
chcąc zrobić ci zdjęcie. Ale powstrzymuje  
mnie ta rzeka obok, śmierdząca  
i cicha. Jakie to ma znaczenie — ten ruch

pośród gałęzi, ten pozamiejski życiorys,  
szmery i szumy, dochodzące tu skąd?  
Pewnie że tak jak jest, jest najlepiej,  
lecz lepić ten czas, uznać klęskę?

Poskładać wszystko w monogram rysowany  
na ścianie dobrym sprejem. Zostawić  
ślad, tak samo kruchy, obcy, zagraniczny;  
jak twoje skorupki, niebieskawe

i pęknięte, lustra, szybki, drzazgi, pamięć,  
z której wykołysało się następne  
istnienie? Siedzę tu. Siedzę i nawet  
tego nie potrafię dobrze opowiedzieć.

## *Kantyczki pana Sommera*

3  
Powstaje pytanie. Gdzie?

Na krawędzi. Między świtem  
a samochodem rozpryskującym błoto,  
zadają je mleczarze, gdy  
na białej karteczce drobnym pismem  
piszą: śmierć wywęszyła kwatery,  
pozostałem wierny.

A później smok zaczyna  
swój rytualny taniec. Na masce  
samochodu brudna maź  
i rysunek anatomiczny „pana i pani”,  
gdy już znudzeni klasyczną pozycją  
zmieniają ją na ekstrawagancką,  
tańczą jak krążownicy na  
żółtym morzu.

Właściciel samochodu głądzi  
tak, że słycać go aż tutaj, gdzie siedzę  
i zastanawiam się, jak powstaje pytanie.  
Czy obrasta jak kość topielca  
wodorostami? Czy może  
przypomina wir w Warcie?

Jałowe te przypuszczenia i suche  
jak jajecznicę, którą zrobili mi rankiem.  
Nim wyjechali, wyciągnęli z lodówki  
sterty jedzenia, między szynką  
a cebulą pyszniły się jajka, oto miara  
grozy — gdy inni widzieli je całe,  
ja dostrzegłem skorupki.

## *Przedbiegi*

Ta... jestem trzydziestoletnim  
facetem i leżę. Wychodzi mi to lepiej  
niż wszystko inne. Gromadzę się nad ranem  
w okolicach kawy i obserwuję  
jej pianę na brzegach kubka.  
Zawsze ci mówiłem, że to jest powietrze,  
a teraz zmieniam zdanie i gdy przychodzi  
sąsiadka, jej pomarszczone ciało studiuję tak,  
jakby była lekcją układania bukietów.

Chociaż rosnę, to inaczej niż przedtem.  
Jej głos może stać się twoim głosem.  
I całe moje zwierzę wychodzi naprzeciw  
sączącym się zza okna pomrukowi ulicy.

Być może jeszcze czuję różnicę,  
skrobiąc pysk żyłką, żalując czasami,  
że nie mogę wraz z warstwą włosów  
zdjąć wydarzeń, które, o tak, chciałbym bardzo,  
mogłyby spłynąć w korzenie kanalizacji.

Ale nie da się „zrobić początku”.  
Zawsze jest letnio i bez drgawek.  
Powszednie wiadomość podawana co rano:  
będziesz upadać.

## *Naśladownictwo*

Wysuszeni, nadzy i wąpiący, tacy  
są nasi lokatorzy. Fen ich drażni i wąpią w Boga,  
patrzac na wzgórze i płacząc na Cytadeli,  
w dzień zaduszny wspominając angielskich lotników.  
Czy chce się nam wymieniać wszystkie te zmarłe  
nazwiska?

No i ich lustra, nie zapominajmy  
o pieśniach powleczonego ręką szkła,  
o tygrysie pod powieką, który się wyzwoli,  
wyzwoli, gdy będziemy dużo czytać.  
(Tak co dzień rano widzę ich w koszulach,  
słyszę te szepty, później głośnie śmiechy).

Moja muzyka jest muzyką ciała,  
gdy chcę wydobyć dźwięk, to stukam  
płaską dłonią o rozgrzany kamień,  
dźwięk jest jak postać ledwo co widziana,  
powidok czegoś, co się utkało w umyśle,  
a umysł jest tkaniną, która nie ma granic,  
bo gdzie granice tego, co tka się bez przerwy?

Ale czy oni mają muzykę? Chłopiec,  
co wąskie stopy natarł olejkami do opalania,  
jego kochanek, który już śpi od południa,  
i przyjaciele i znajomi palący się w słońcu,  
Ci przyjechali z Treviru, tamten z Akki,  
wiem, że widzieli Krzyż Południa i zazdroścę  
chłosty w ciemnym pokoju na Via Nuova,  
tych opowieści słucham drugi tydzień,  
a jednak nie mogę usłyszeć muzyki.  
Może to zresztą tak być musi,  
stoję z patykiem w dłoni skrępowany,  
bielszy niż mur, o który się opieram,  
słyszę, że chłopiec czyta, patrzę tylko,  
wiem, że o nic go nie spytam.

## *Wszystko mi jedno*

teraz to będę pisał smętne  
wiersze o smoku Fafnerze,  
o dziurce od klucza i zgrzycie,  
jakaś pieśń z tego wyjdzie,  
sznureczek znaków na kartce,  
gdzie blask i czerń zlewają się  
w jezioro, nad którego brzegiem

podejrzane panienki szepczą  
o muzyce.  
A Ty będziesz  
w dalekim mieście planował  
następne dni. Przy rozmowie  
wspomnisz coś o śmierci  
i jak byłoby dobrze spotkać  
się znowu. Zwłoka jest zła,  
nie zwlekajmy, zróbmy to  
natychmiast.

Odległość jest dla odrzuconych.

## *Rozciągnięcia*

Wieczór jest zwyczajnie soft,  
czarno-białe nasionka rośliny leżą na watce  
i kielkują, nikt w domu nie zna jej nazwy  
ani nawet nie wiadomo, skąd przybyła,  
a jednak kielkuje.  
Najwyraźniej ta wiedza skąd, dokąd, dlaczego  
jest jej zbędna. Z sąsiedniego pokoju dobiega  
delikatny scratching, Marek na tym tle  
mruczy swe medyczne mantry — nazwy leków  
jak imiona odległych planet.  
Wszystko wydaje się jak na holenderskim  
obrazku, połyskliwy werniks oddala  
w oszalałających refleksach myśl,  
że, ona urośnie, dojrzeje i zniknie,  
zostanie pestka.  
Kość obrana z tajemnicy,  
właściwie sama tajemnica.

## *Książeczka do pokrewieństwa*

Nad czym się pochylam, gdy myślę o Tobie?  
Nad studnią, strumieniem czy strupkiem na dłoni?

„Jest jakaś krew w tym ciemnym żargonie  
ktoś ciągnie wagon po tym bocznym torze”.

Czy jest rym do gorzkiej książki, którą tu czytałeś?  
Kto nas opisał:

„mówią, że jak zwierzęta  
tarzali się w pościeli  
i Bóg na nich patrzył, święci i anieli”?

# Senariusz

Jehowa przyszedł i zawirował w pokoju.  
Przypominał pływaka żółto-brzeżka,  
gdy spokojnie unosi się w toni,  
trzymając martwego ciernika.

Chciałem uratować, lecz osad  
z głębin podniósł się i przeszkodził,  
jedyną broń, moje usta,  
zamknął pieczęcią z gliny.

Kim byłaś rybo, że szarpałem się  
przez pół nocy, by wyrwać cię z uścisku?

Nawet nie znam ostatecznego wyniku,  
sędziowie rozsypali się jak konstrukcja  
z domina, sędziowie też osobliwi —  
trzciny i kłacza w pełnym mroku.

# Katalogi

Koszulka Marka na poręczu fotela.  
Zniszczony parasol.  
Ciemna plama spodni.  
Pełnia w zamieszkałej klatce  
ptaka bez gatunku i nazwy.  
Niejasne sprawki z portfelem.  
Brak kasy na wyjazd.  
Wybite z rytmu, nieme urządzenie,  
krztuszące się, gdy powinno bucząć.  
A gdy pod wodą zaczyna się taniec,  
ono zupełnie szaleje.  
Ten dźwięk niszczy tkanekę  
innych dźwięków.  
Zupełnie jak wtedy, gdy przewieszony  
przez balkon, tuż przed pierwszą kawą,  
patrzę na twarze zmieniające się w potok.  
Ciągły cykl przemian nuży,  
powracam do świata, gdzie jak zwykle  
każdy skok z dziewiątego piętra  
poprzedza rozmową wyrozumiały zestaw  
sprzętów codziennego użytku.  
Jaskrawa żyłtka na tle zacieków mydła.  
Ten tępy kranik plujący się jak facet  
po piątym piwie, bodajże wczoraj,  
na schodach przy rynku.  
W końcu jakoś płynie, jak każda woda  
na tej planecie, poranek bez nazw,  
mroków i półcieni:  
wielkie święto jak każdego roku.

## Dowód

Jurne jarzeniówki ciągle świecą, nie przeszkadza im nic.  
Chciałbym się nawrócić na to jasne sprzężenie, ale milczą.  
Czegoś tragicznego domyślam się w tutejszym powietrzu.  
Jurek ma raka? Czy może puściła go kantem.

Zmiana warty przybędzie nad ranem, błądy chłopiec zastuka w drzwi  
i powie: odchodzimy, i smagnie batem psy, popędzimy w śnieg,  
o to chodzi, żeby w końcu trafić na biel.  
Ale chłopiec i bat? To dwuznaczne.  
Przyglądam się ścianie, pod się jak człowiek przyłapany na kłamstwie.

W czym kłamie ściana? Czy jest kapelan  
od ścian, czy psycholog czuwa z kartką?

Dlaczego błądy chłopiec, a nie na przykład Murzyn,  
albo konkretnie Wojtek, ten który strzelał kiedyś do gołębi i drzał,  
gdy ścigała go osa? Skąd to skojarzenie światła i seksu,  
czyżby port był blisko?

A w końcu gdzie dąży to drzenie, gdy już ujdzie z ciała?

Jest jakieś niebo za horyzontem, rozległy sad  
i ani jednego jabłka?

## Sklepik

Skrzela ryb jak piwonie już w rozkwicie  
choć patrzących mało.  
Facet zarabiający na życie  
ich sprzedają  
stuka w szybkę akwarium i uśmiecha się skrycie.  
Coś okrutnego jest w tej wodzie o zielonkawym  
zabarwieniu,  
nawet tępe bzyczenie much wyraża niepokój.  
Wentylator wysiadł i nie kręci się wcale  
i powietrze tężeje jak kisiel.  
Gdy wychodzę, towarzyszy mi dzwonek  
i rechot papug, nagle zaniepokojonych ruchem.

## Wynieść

śmieci jeszcze przed północą  
i w momencie, gdy głuchy dźwięk kontenera  
rozbije nieustanny szmer owadów,  
zastanowić się jak wracać.  
Czy okrężną drogą, długi spacer spowolniony papierosem  
i wymianą spojrzeń z sąsiadami pod trzepakiem, czy może  
inny wariant — ten krótki skok przez wykop w bok od betoniarki

i skręt przy workach z wapnem w prawo  
i jest się pod drzwiami domu — nie wiem.

Na razie wędruję w myślach po ślepnącej mapie,  
brzegiem czegoś, co trudno jest określić jako jakiś  
uchwytny moment.

Ty właśnie rozpoczynasz obrzęd zasypiania, a ja  
staram się nadać sens skokowi przez wykop.

Są jeszcze wersje mniej drapieżne, jakaś śmierć  
w poczekalni, idiotyczny film o trzeciej w nocy.  
Autobus zwany „Coś Innego”, z którego  
zawsze się korzysta przy święcie niepewności.

Oczywiście w końcu wstaję i wynoszę,  
przed wpół do pierwszej, zabawiając się  
wyborem schodka, którego nie dotknę.

## *Mała medytacja*

Miska z wodą emaliowa i mydliny  
brudne od rdzy z czyszczonej blachy.

Idę wynieść to na dwór i wylać pod drzewo  
spienioną masę czegoś, co nie żyło,  
choć może nie do końca, ta woda  
mogła być częścią czyjegoś ciała,  
żelazo też, a nawet mydło —

właściwie wszystko kiedyś wszystkim.

To mnie onieśmiela i delikatnie ją kładę.

Potem patrzę w okno. Ciągłe schylone  
cienie snują się po kuchni, z dwóch  
lamp pada światło. Lep pełen much  
kołysze się miarowo na kinkiecie —

sam środek świata i wiedzy o świecie.

## *Pani Michałowska*

Pani Michałowska umarła we wtorek.  
Nad ranem znaleźli trupa, nad ranem.

Jej pończocha wisiała za oknem, podarta  
i zacerowana, i znowu podarta — wzory  
skłębionych myśli odcisnięte w powietrzu.

Kiedy ją wynosili, pies zawył i kawa  
wylała się na obrus. Z okrutnej sierści  
jest ten świat utkany. Taka myśl krążyła

jak mucha nad kanapką, w czaszce pustej,  
białej, przesiąkniętej pleśnią.

Potem prześcieradło wdarło się na pierwszy plan.  
Zagrało scenę z wiatrem, sznurkiem, z upadkiem  
na ziemię. Już wieczorem było szmatą  
i następnego ranka nie istniało.

Rozdzielone na włókna,  
przyczepione do drutów, do drzew,  
których gałęzie sięgają aż tu, wysoko,  
do pokoju, gdzie ona umarła, we wtorek,  
nad ranem, podobno przed czwartą.

## *Puch*

Miasto niczym punkt programu w kiepskim przedstawieniu.  
Nieobecne już od godziny w monologu faceta z piwem.  
Jednak już za chwilę będziemy je mieli, proste jak kazanie  
o niegodziwym koleździe kradnącym kurtkę z szatni szkoły,  
do której chodziliśmy dniem i nocą, dniem i nocą bez ustanku.  
Oszukując za każdym razem, gdy wywoływano nas do tablicy.

Mam tylko nazwisko bez ciała i jestem ciałem bez imienia.  
Tlenionej nauczycielce w kusej spódniczce, która skromnie tańczyła  
na każdej imprezie, to właśnie mówiłeś, aż przecierała oczy,  
aż na jej twarzy wykwiłał uśmieszek, jak pleśń zabarwiająca kawy,  
które sto lat temu zostawili rodzice w filiżankach białych jak puch gęsi,  
delikatnych jak śmierć, mocnych jak gęsta rzęsa na jeziorze. Słowem:  
żadnego nowego wrażenia, tylko ten plastik szczęśliwy i gadzi  
uśmiech, złoto zabawiające się z rajfurem, błękitny kryształ  
w piździe kochanki. Nie pamiętam kiedy otworzyła drzwi  
prosząc nas: spadajcie.

Nieważne są te rzeki i strumienie, w których ukrywa się ciernik,  
z gniazdem ze śliny, puchu i kamieni, ani błoto wysychające na podeszwie  
buta, którego już nie włożysz, bo wkradł się demon, pękły szwy,  
poszło w cholerę całe lustro. Jedynie pociąg, pocięte siedzenia, skaj i trawa  
palona w półmroku i postać w rozkroku, która za chwilę cię uderzy.  
Usta z sączącym się monologiem, wszystkie świąteczne słowa, zagadki  
i pytania, których nie zadałbym wcale, gdyby nie okno, zakurzona framuga,  
pył naprowadzający stale na jedną i tę samą metaforę, opadającą  
jak świetlisty refren, kadencje w muzyce.  
Akord bez początku.  
Wszystko co brudne zmieniające się w czyste.

## *Nieskończone okna*

Nieskończone okna. Puszka z farbą  
przy rolce tapety. Remont osiągnął  
etap, w którym przemienia się w teatr.



Trzy złote brakuje do rozpuszczalnika.  
Wszystko, co gęste, w tym upale  
staje się jeszcze bardziej nierealne.

Dla mieszkańców sąsiednich okien  
przestaliśmy już być widowiskiem.  
Już nie pytają o podłogę zasłaną gazetami  
i o to dlaczego późną nocą czytasz je,  
chodząc na czworaka i skąd ten napis,  
wielki tak, by wszyscy widzieli:

moja skóra kończy się nocą.

## *Rano*

Dziura w piersiach po przebudzeniu rankiem  
zalana kawą z trzech łyżeczek, nie bardziej  
doskwiera niż strupek po komarze.

A jednak jest pusto. Wieczorem czytana  
gazeta już zsunęła się ze stołu  
i niczego nie wypełnia, płasko opadła  
na podłogę i trwa tam jak fładra na dnie.

Nie chcemy się zauważyć nawzajem.

Ciśnienie pewnie spada, bo sen nie  
odkleja się od świadomości, tylko  
ciągnie ku sobie, jakby chciał przeciągnąć  
linę na piknikowym konkursie.

Gorąca kawa wygrywa, choć  
ciągle jest jeszcze tępo, płasko i brudno.

Ostatnie zdanie ze snu ciągle nęci,  
choć jest tylko strzępkim:  
„ulica Nieszawska w prawo i przez krzaki”.

Reszta jest zamazana, dziury, luki, braki.

## *Porno*

Wieczór. Na ławce ostatniego  
papierosa dopala się szybko.  
Jakiś skate śmiga po placu.  
Wygina ciało a popiół opada  
na trawę. Seks z tą „ciszą”  
jest zupełnie niemożliwy.

I ja także jestem niemożliwy.  
Nerwowo biorę ostatniego  
macha i otumaniony ciszą  
przenoszę się szybko

na drugą ławkę. Skate opada  
na zimną glazurę placu,

jakby był panem placu.  
Wydaje się niemożliwy  
ten ruch, gdy lekko opada.  
Kiedy tu byłem ostatniego  
razu, nie robił tego tak szybko.  
Tak czy inaczej jest ciszą,

która jest irytująca, ciszą  
pochłaniającą przestrzeń placu,  
jak pustynia, tajemniczo i szybko.  
Choć nie jest niemożliwy  
scenariusz, w którym do ostatniego  
znikają domy wokół, opada

kurtyna, właśnie tak, opada  
powoli obciążona ciszą  
i spojrzeniami widzów, ostatniego  
widza. Tymczasem na placu  
następny piruet, niemożliwy  
do powtórzenia. Wykonany szybko

wabi jak porno, by szybko  
go utrwalić. Lecz jego ciało opada,  
jest w tym ten niemożliwy  
rys, szczelina wypełniona ciszą,  
tak, że zamieramy na tym placu,  
oglądając pierwszy raz coś ostatniego.

Szybko się męczy, opada z sił,  
i leży na placu jak niemożliwy teraz śnieg.  
Do ostatniego ścięgnię wypełniony ciszą.

## *Żegnaj Plastusiu*

Drobniutkie sacrum idzie pod prysznic,  
pogasło w nim coś raz i drugi, przed  
lustrem sprawdza opryszkę na wardze,  
nie można ufać opryszcze, trzeba zawsze kasać.  
Choć światło żarówki zwięża źrenice,  
końcówki włosów trzeba przystrzyc,  
to co nowe też patrzy uważnie,  
choć w mgle jest jeszcze i zebra nie wyjął,  
aby wykołysać ciebie. Ale ruch już się zaczął,  
na krzywych nóżkach kuśtyka dookoła,  
nic konkretnego w blasku oka.

# *Żart na niepogodę*

Ryba chowa pocałunek  
i mała piaskowa burza zasłania listek  
wodorostu, który leżał  
przy sztucznej muszli. Światło  
też jest sztuczne tutaj i sztuczne  
są sposoby myślenia o tym, po co  
jedną rybę trzymać w tak wielkim  
akwarium. A co jeśli uderzy piorun,  
wśliźnie się cicho i spali nas nagle?  
Co jeżeli zatrzęsie się ziemia?  
Będziemy mieli komorę grobową  
z indonezyjską rybką, której łuski  
iluminują w ciemnościach?  
Kto ją nakarmi rozwielitkami,  
kto będzie patrzył jak śmiesznie  
porusza pyszczkiem i stukał w szybę,  
mówiąc: zdenerwuj się, nastrosz,  
już pora?

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest udostępniony na licencji [Licencja Wolnej Sztuki 1.3](#).

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#).

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/pasewicz-dolna-wilda>

Tekst opracowany na podstawie: Edward Pasewicz, Dolna wilda, Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2006.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

ISBN 978-83-288-5226-6

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).